Ner 11. **Kraków 1 czerwca 1868.** **Rok III.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny.— Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI przy ul. Jagiellońskiej Nr. 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9tej do 12tej rano.

Począwszy od czerwca b. r. znajduje się **biuro** nasze przy **ulicy Jagiellońskiéj Nr. 204.** dom jen. Kruszewskiego — na dole, od frontu.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody.**

JUBILEUSZ

Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

Pierwsze pół wieku istnienia obchodziło właśnie Tow. Naukowe 16go maja b. r. publiczném posiedzeniem. — W okolicznościach najniekorzystniejszych, wśród kilkakrotnych przemian stosunków politycznych, to złączone, to oderwane od uniwersytetu jagiellońskiego, pomimo przerwy kilkoletniéj przetrwało to towarzystwo burze czasów, wzmogło się, usadowiło w własnym gmachu i zyskało w kraju przynależne sobie znaczenie. Szanowny prezes Dr. Majer przedstawił losy te w przemowie godnéj i gorącéj, którą téż publiczność przepełniająca salę przyjęła żywym poklaskiem szacunku i uznania. Oświadczywszy, że instytucja publiczna z czynności swoich publicznie obliczać się powinna, zastanowił się nad rozdziałem pracy w sprawie oświaty i nauki, nad zadaniem wszelkich innych towarzystw i usiłowań, z czego przeszedł do wykazania jakie w téj pracy miejsce przypada Tow. naukowemu, a mianowicie, że według *ustawy* Towarzystwa, należy do niego uprawa saméj ścisłéj nauki. Przytaczając prace odnoszące się bezpośrednio do potrzeb kraju, jak czasopisma, wydawnictwa, konserwatorstwo zabytków, czynności fizjograficzne i balneologiczne, przytoczył następnie w krótkim przeglądzie ściśle naukowe prace i owoce badań staraniem Towarzystwa podjętych. Szkoda, że szlachetna ta i szczéra przemowa nie została z góry wydrukowaną, gdyż wielom za wzór, a wszystkim ku zbudowaniu posłużyćby mogła.

Następnie odczytał p. Lucjan Siemieński rozprawę o X. J. Woroniczu prymasie, poecie, a jednym z pierwszych członków Tow. Nauk. Głównie zwrócił uwagę na to, że była to dusza natchniona, patriotyczna i szczytna; że jako poeta nie należy do żadnéj szkoły, ani klasyków, ani romantyków — lecz przepomniano, że on dał początek naszym późniejszym psalmistom narodowym, którzy jednak czystą podniosłość jego natchnienia skrzywili filozoficznemi teorjami i zrobili z Polski odkupicielkę rodu ludzkiego, Boga w trzeciém objawieniu. Należy się wdzięczność panu S. za śmiałe wypowiedzenie tego zdania. Mistyczne bowiem mrzonki, wprowadzone głównie przez historjozofów i Krasińskiego, przemycone zostały w wyobraźni narodu za pomocą uroku poezyi i niejedną wyrządziły szkodę. Przeniesiono je bowiem ze mgły urojeń w sferę codzienną, w sferę polityki, i była obawa, że usposobienie takie rozwodni do reszty i tak już niewielką u nas rachunkową trzeźwość i praktyczność — te kardynalne warunki politycznego zdrowia. Podniósł następnie pan S., że Woronicz grał tylko na jednéj strunie, ale nawiązał ją u źródeł wiekuistéj prawdy i przeprowadził przez serce. Więc też pomimo ucisku cenzury, utwory jego rozchodziły się w rękopismach i były powszechnie znane — bo społeczeństwo potrzebowało pokarmu duchowego i utwory poważne były wyrazem i zwierciadłem jego. Dzisiaj przeciwnie publiczność ugina się pod nawałem druków, których czytać nie chce i nie umie — a na literaturę woła jedynie! bawcie nas!

Na zakończenie odczytał p. Czernicki przygodny wiersz ociemniałego lirnika W. Pola, w którym rzewnie i serdecznie poczcił tę niewidomą mrówczą pracę Towarzystwa, o jakiéj Prezes wspominał. — Ciesząc się blaskiem perły, czy zapyta kto o nurka, który ją łowił — ciesząc się z pracy pługa, albo ze sławy miecza, czy zapyta kto o górnika, który żelazo z głębin ziemi wydobył? Oto główna myśl téj pieśni, pod któréj wrażeniem opuściła publiczność salę z sercem uradowaném, z otuchą i słuszną narodową dumą. — Była to zaprawdę uroczystość!

ARTUR GROTGER.
Ustęp z dziejów sztuki polskiéj.

(Ciąg dalszy.)

* * *

Utwory te ustaliły już sławę Grotgera. Nastała jednak teraz u niego przemijająca chwila zniechęcenia do życia i sztuki. Dalsze bowiem serje były już gotowe w fantazyi jego, rwała się dusza do wykonania ich, a warunki życia nie pozwalały na to. Dochód za *„Warszawę“* i *„Polskę“* poratował zaledwo chwilowo i w części tylko jego interesa. Potrzeba było żyć, a i długi rosły coraz więcéj. Nie mógł się więc wziąść do żadnego większego dzieła. Pochłaniałoby ono koniecznie cały czas i wszystkie siły jego — a tymczasem przez miesiące trwania pracy byłby z rodziną bez dochodów. Zresztą czyż mogła być pewność, że po ukończeniu sprzeda dzieło? wszak już *„Polskę“* nie Polak kupił. Pokazało się później, że i ta obawa była słuszną.

Trzeba więc było pozostawić na boku ideały i wielkie cele sztuki, które już jasno przed sobą widział, a wziąść się znowu do zarobkowéj roboty, do drzeworytów i ilustracyj dla czasopism, dla zdobywania codziennego chleba. Zżymał się i targał duch jego, rzucał się znowu od czasu do czasu w wir hałaśliwego życia z dnia na dzień, jakby sam siebie chciał zapomnieć i zgasić.

Hr. Palffy wziął go na jakiś czas do Wenecyi — zaraz też korzystając z chwili spokoju począł rysować *„Litwę“*. Za powrotem przerwały znowu pracę stosunki rodzinne, zamęźcie siostry. Artur wyjeżdżał do Krynicy, tłukł się jakiś czas po świecie, tak jak niecierpliwe pomysły po jego głowie się tłukły; wrócił znowu do Wiednia, ale tutaj pobyt jego dalszy stał się już niemożliwym — nie miał ani chwili wolnéj przed naciskiem wierzycieli. Potrzeba było usunąć się, załatwić tymczasowo co się dało i wytchnąć. Wyjechał tedy do Galicyi.

Rok 1865 i większą połowę 66. przepędził na przemiany we Lwowie i w Śniatynce (w Stryjskiém), u Stan. hr. Tarnowskiego, z którym jeszcze z Krakowa zostawał w serdecznéj zażyłości, którego kochał jako zacnego obywatela — bo musiały przylgnąć do siebie dwie zarówno polotne, młode i patriotyczne dusze.

Czas ten ważnym jest w rozwoju Artura pod wielu względami, które też w pracach jego wybitnie się odznaczyły.

A najpierw pobyt na wsi powrócił mu spokój, swobodę i humor. Wolny od nękających codziennych trosk, od wyczerpującéj, g r o s z o w é j roboty, odzyskał całą ochotę do pracy. A otwarły mu się tutaj bogate źródła: przyroda, polowanie w ogromnych lasach, obcowanie z ludem, były to m o t y w a dotąd prawie nowe dla niego; z każdą chwilą napotykał jakiś nowy typ ludowy, albo ciekawą sytuacją; podpatrywał i chwytał przyrodę na uczynku; szkicował, robił studja, portrety i widoki; nie przestawał się uczyć. Były te chwile jakby poetycznym epizodem; życie było poezją, a praca życiem. Pozostawił też przyjacielowi mnóstwo obrazków, jako wspomnienia tych chwil.

Malarz *„Litwy“* znalazł tu p r z y r o d ę i l u d, dwa warunki, dwa motywa, które właśnie głównie obrazy te wypełniać miały.

Zyskując na mezkiéj sile i zbogacając zasoby fantazyi, doszedł Artur równocześnie wtedy i do zupełnéj wewnętrznéj harmonii życia, gdyż i pragnienia serca jego znalazły swój ideał.

Serdeczna, prawdziwa, wielka i jedyna miłość jest zawsze potrzebą i jakby znamieniem silniejszych dusz i charakterów. Cień i źródło wśród spiekoty i walki, ognisko wśród zimowych zawiei zwątpień i niepowodzeń; kotwica i bussola dla okrętu pośród morskiéj burzy; światełko z leśnéj chaty dla znużonego wędrowca; niewidomy przewodnik pośród matecznika przygód; tajemnica niewyczerpanéj ufności i polotu; bezpieczne schronienie i ratunek; i wszystko, cokolwiek kiedy o tém powiedziano — jest to wszystko zaledwie słabe echo téj pieśni życia, jaką miłość młodéj duszy śpiewa. Szczęśliwy, komu dano spotkać i poznać swojego Anioła-stróża! a cóż dopiero, jeżeli tym aniołem jest polska dziewczyna. Kogo nie utwierdzi to bierzmowanie miłości, komu pozostało obcém to ciepło i przytulisko dla duszy, kto nigdy za życia nie był w niebie; tego życie i natura pozostanie zawsze surową i szorstką, ten nigdy się nie zdobędzie na pełny spokój, nie będzie z niego szczęścia ani dla ludzi, ani dla niego samego. Nie ma tak mocnego człowieka, żeby się obszedł bez takiéj najosobistszéj nadziei — nie ma tak jałowéj duszy, żeby nie zapragnęła zamaczać skrzydeł w takiéj tęczy przymierza. Nie ma też artysty-poety bez miłości. Dopiero pod jéj błogosławieństwem nabierają wszystkie potęgi twórcze właściwego kolorytu, rzutne pomysły opromieni dziwna łagodność, miękka cisza przeglądać będzie przez surowe linie — stanie się p r z e m i e n i e n i e talentu i życia. Te czarowne światy otwarły się teraz dla Artura. Znalazł i wybrał t ę, do któréj już odtąd wszystkie swoje pragnienia, smutki i triumfy odnosił. Spotężniał stokrotnie, bo uśmiechało mu się szczęście i chciał, aby życie jego, które kładł pod stopy w y b r a n é j było pełném sławy i zasługi. I radby był cały świat przynieść jéj w darze, nakazać całemu światu, żeby jéj hołdował. Więc w ogromną księgę, dla n i é j przeznaczoną zbierał świadectwa, podpisy i wyznania wszystkich ludzi, któ-

rych lubił i cenił, wszystkich znakomitszych osobistości, a rozpoczął tę procesją poczciwym, staropolskim wierszem, sędziwy Andrzej Grabowski.

Więc pod wpływem serdecznego czaru twórczość jego nabrała niesłychanego wdzięku i uroku owiewającego prace jego zawarte w wielkiéj tece, z których niektóre rozpowszechnione zostały w fotograficznych albumach, pod nazwą: „Wieczory zimowe“. Nazwa ta objaśnia najlepiéj sposób i okoliczności, w jakich one powstawały.

Te szczęśliwe warunki życia, któreśmy właśnie poznali — były więc nadzwyczaj korzystne dla talentu Grotgera. Był to czas najobfitszéj artystycznéj twórczości w życiu jego, po której została *„Litwa“*, *wielka teka*, i mnóstwo innych obrazów, które z kolei oglądać nam przychodzi.

Sześć obrazów: *„Litwa“* jest dalszym ciągiem, w téj malarskiéj epopei naszych ostatnich dziejów. W owéj ziemi zaślubionéj z Polską i tworzącéj z nią nierozerwalną jedność, w dziewiczych puszczach, na świętéj Żmudzi, pomiędzy Kurpiami, urodzonymi strzelcami o drzewianych łykach, przechował się w całym blasku wiekuisty Znicz miłości Ojczyzny. Tam, gdzie i przyroda najwięcéj podjazdowéj wojnie sprzyjała — tam było powstanie powszechném, tam szli naprzód i księża z krzyżem w jednéj, a mieczem w drugiéj ręce, tam zarówno stare gniazda Narbutów... jak i chaty i piersi ludu, jak i lasy i jeziorzyska były dla powstania twierdzami.

Tutaj więc artysta musiał sięgnąć po skarby ludowéj tradycyi i wyobrażeń. Więc widzimy najpierw, jak *„Zmora“*, duch zniszczenia, znana z P. Tadeusza *dziewica moru* przelatuje ponad litewskie bory z zarzuconą kosą i z chustą. Jest to utwór fantazyi tak potężnéj, jaką jeden Słowacki posiadał. Postać jest zawieszoną wśród drzew i ponad drzewami — widać groźne oblicze, ale rysów tajemniczego widma po za mgłą dopatrzeć nie można; olbrzymie to zjawisko, a powietrzne; czujemy je raczéj, jak widzimy, kształt jego jest więcéj cieniem, nie kończy się, ale spływa razem z gęstwiną leśną. Nawet lis z jamy się wychylił i wietrzy strwożony, że się coś niezwykłego, coś okropnego znaczy. Tak pokazawszy, że cała przyroda dyszy zapowiedzią wielkich wypadków, prowadzi nas artysta między ludzi. Oto leśnik w chacie swojéj wsparł się na ławie i zasnął. Ale to nie jest zwykły sen, bo obok niego broń; on czeka na *„Przebudzenie“*. I widzimy, że jakaś pięść bije w okno. Przelękła żona leśnika porwała się ze snu, wie ona tylko tyle, że strach, strach wielki, że trzeba się pożegnać. Leśnik wyszedł do powstania — i stoi już oddział w lesie, w nocy przy księżycu; leśnik dzierży sztandar i wobec mnicha kapelana (postać to niewysłowionéj piękności) odbywa się *„Przysięga“*. Nie było czasu uróść w siłę, już wróg ich wytropił, wszczęła się zacięta *„Walka“* — u naszych broni mało i licha, więc chwycili za koła, i według miejscowych sposobów urządzają napad jak na dzików, i psy prowadzą ze sobą, żeby ich rzucić na wojsko. Żona leśnika tymczasem w chacie kule leje; ale tchnęło ją złowrogie przeczucie — i oto na przyzbie pojawia się *„Duch“* leśnika, który zginął w boju. Ale ty niewiasto nie odszukasz ciała jego, boś ty wiedziała o buntownikach, a nie doniosłaś, i kul i wiadomości im dostarczałaś, więc i ciebie *„Sybir“* czeka. I widzimy ją w kopalniach jak pada wycieńczona — ale to nie jest upadek ducha, wiary i nadziei, bo oto w chwili ostatecznego umęczenia pojawia się w całym majestacie i w całéj plastyce, wysoko na skale Matka-boska, taka, jak ona ją widziała, w kościele, jaką ona lubi i rozumie, w ciężkiéj, bogatéj szacie z Jezusem na ręku. Upadająca dźwiga się wewnętrznym zachwytem — a i myśl widza po takiéj dantejskiéj pielgrzymce znajduje wytchnienie i otuchę. Jak cały szereg tych obrazów trzymany jest jakby w stylu ludowym, tak i końcowy motyw: *„Objawienie“*, dopełnia harmonii w sposób i najwłaściwszy i najprawdziwszy.

Co do techniki w wykonaniu zarzucano w poprzednich utworach niejakie anatomiczne usterki. I tutaj uważano sztywność w postaci ducha na obrazie piątym; zbytek plastyki w postaci kobiety na obrazie drugim. Są to jednak wady, na które nie ma czasu zwracać uwagi, bo szczegóły te drobne nie psują całości. Musiały się one znaleść czasem w utworach Grotgera, gdyż wynikało to ze sposobu rysowania. Robił on nieustanne studja z natury z wszelką ścisłością, pozostały np. rysunki małego dziecka, które modelował w kilkudziesięciu pozycjach; jednak kiedy przyszło do tworzenia, rysował tylko z pamięci, bez modelów. Tém więcéj też podziwiać trzeba siłę i poprawność rysunku, charakterystykę w obliczach, żywą prawdę w ruchach postaci w grupowaniu i ów czarujący wdzięk jego pejsażów — lasów z całym ich mrokiem, nieba z całą magią księżycowego oświetlenia... Są to arcydzieła, równéj poezyi jak opisy widoków w P. Tadeuszu, albo niektóre pejzaże w ilustracjach Dorego do Nieboskiéj komedyi.

I odniosła tutaj sztuka jeszcze jeden wielki triumf: Najwymowniejsza historja wywoła zawsze spory i zdania przeciwne, według wyobrażeń różnych stronnictw. A cóż dopiero opowieść dziejów tak świeżych i tak bolesnych. Tymczasem Grotger postawił — pierwszy — lud na piedestalu patriotyzmu; unieśmiertelnił najrdzenniejszą ideę naszych porozbiorowych zapasów — i wobec uroku i potęgi sztuki zamilknąć musi niewiara i opozycja i reakcja — bo co wymalował i jak wymalował, to już tak zostało i nikt tego nie odmieni. Tak samo jak Matejko napiętnował zdradę w swoim *„Upadku*

Polski" — i każdy to widzi, i nikt tego już nie zmaże. Oto wielkość i misja malarstwa! Na słowo można odpowiedzieć dziesięć słów — ale niechaj się kto pokusi przeciwném odpowiedzieć płótnem!

Do tych lat w życiu Grotgera należy jakeśmy widzieli, policzyć prace objęte w wielkiéj tece. Część z nich wydaną została w albumach fotograficznych przez Szajnoka we Lwowie p. t. *„Wieczory zimowe"* — rysował i p. Wandzie Monné poświęcił Artur Grotger. Rysunki te mają podwójny charakter. Są to albo pojedyncze epizody z wielkiéj epopei narodowéj opiewanéj w poprzednich utworach, stanowiące każdy dla siebie całość, ale duchowo z tamtemi połączone — albo też odrębne obrazy będące jakoby zwierciadłem wyobrażeń, zajęć i upodobań wybranego towarzystwa, w którém autor w tym czasie żył i wpływów, pod jakiemi zostawał.

Serja I. obejmuje 5 obrazów, do których zawtórował tekst Wincenty Pol. *„Głowa Chrystusa"* w cierniowéj koronie, wyraz oblicza pełen miłéj łagodności, włosy i broda niezrównanie miękkie i wdzięcznie ułożone. *„Wygnaniec"* kujący kamienie; w głębi ciemna pieczara, na przodzie postać jakby skamieniała na posąg, ręka z młotem wyciągnięta w górę, na piersiach szkaplerz, krakuska na ziemi, oczy przymknięte, niezłomny pokój męczeństwa opromienia całość, która przypomina straszne sceny z Anhellego, albo z dantejskiego piekła.

Kuję kamienie, wszystek skamieniały;..
Życie kamieniem — dzieje mi kamieniem,
Praca kamieniem i kamieniem niebo...

„Głowa Matki boskiéj" bolesnéj. *„Rodzina pod murami więzienia"* — matka płacząca, do któréj tuli się dziewczynka, a obok chłopczyk, ideał młodziutkiego smutku i wczesnéj zaciętości.

Czekam i czekam — dzieci mi się morzą,
Czekam i pukam, czy drzwi nie otworzą...
I słyszę — słyszę, gdy przyłożę ucho —
Jakieś pukanie od samego rana;
Słowo po słowie przez mury się cedzi...

Trudno się oprzeć przypuszczeniu ukrytéj myśli, która przewodniczyła przy zestawieniu obrazu pierwszego z drugim, a trzeciego z czwartym.

Ostatni obraz to nadzieja przyszłości. Młody *„Inwalid"* z ostatniego powstania, o drewnianéj nodze, opowiada krwawe, a sławne dzieje dwom pacholętom. Jedno, to dziecię dworskie — drugie, dziecię ludu; nad niemi stara lipa — z boku dwór. Zasłuchała się dziatwa i podpatrzył ją artysta na uczynku, w pożyciach naiwnéj prostoty i zachwytu.

Słowo, to piana na bieżącéj wodzie,
Lecz gdy w podaniu wielką sprawę streści —
Jak widmo dziejów błądzi po narodzie,
Żywiąc miłości i wielkie boleści...

Serja II. obejmuje także 5 obrazów. *„Muzykant wędrowny"*, z siostrzyczką, który gra na skrzypcach siedząc w zakącie ulicy. Uroczy portret *„F. Tepy"*, malarza typów ludowych. *„Portret W. Pola"* z profilu; głowa to tak charakterystyczna, że gdyby kto z ducha utworów poety wyimaginował sobie postać jego, musiałaby być taką, jak ten portret. *„Szlachcic pod figurą"*, jest to scena z pamiętników kwestarza — Chodźki. Pałasz utwierdził w ziemię — klęknął, piersi ugniata pięścią, głowę zadarł, nastrzępił wąsiska i cała żylasta postać niby to upada w skrusze, ale zarazem sumituje się P. Bogu, że musi adwersarza swojego porąbać. Nakoniec *„Noc na lagunach w Wenecyi"* — niebo spływa się z morzem, światło księżyca w wodzie się kąpie — awśród téj gry magicznéj — na gondola.

Wielka teka obejmuje nadto mnóstwo innych obrazów bądź wykończonych, bądź zaczętych dopiero.

(Ciąg d. n.)

Kilka pieśni z teki
JÓZEFA SĘPA.

Pannie młodéj.

Nie znam cię, jednak wiem, kto ciebie bierze,
Wiem, że nie błądzi głos czystego serca,
Wiem, że Bóg czuwa u ślubów kobierca,
Że z ciemną jasny nie wejdzie w przymierze.

Więc żono brata bądź mi siostrą w wierze,
I wpisz pieśniarza między druchów grono,
A gdy zahuczą bębny, skry zapłoną
Męża i jego w jedne wznieś pacierze.

O! bo nie w kwiaty idziesz z mężem z stali,
Nie na taneczne zmienisz wianek śmiechy.
Czujnym być winien ptak, gdy mur się wali,
Przy którym zlepił gniazdo, gdy zpod strzechy
Jednéj gołębie wzlatują i kruki —
Bądźmy czujnymi grzesznych dziadów wnuki.

Dzielny.

Ja dziś aniołem nie nazwę mężczyzny,
Co żyje cichy, jak modrzew wśród gaju.
Co nie zna piekła, i marzy o raju,
A w zimném sercu nigdy nie miał blizny.

Ni tego synem ja nazwę ojczyzny,
Co tylko krzyczy i szabelką macha,
A ogień rzuci u własnego dacha,
A w ziemię rzuca jad cudzoziemczyzny.

Aniołem-ducha, karjatydą jasną
Jest mi człek taki, co z pokusą walczy;
Co, gdy na niebie światła mu zagasną —
Zapali lampę i z skóry padalczéj
Wylezie Bogiem i błyśnie oczami,
W których zwycięztwo światła znać za mgłami.

Komedja Boża.

Dzieje ludzkości — to komedja Boża,
Przez arcymistrza w trzech częściach usnuta:
Pierwsza część grzech się zwie, druga pokuta,
Trzecia powstanie z grzechu, z śmierci łoża.

W pierwszéj Bóg-Ojciec przyświeca jak zorza,
W drugiéj Syn ogniem południa się pali,
W trzeciéj jak słońce gasnące wśród fali
Duch-Święty rzuca blask w błędów przestworza.

Wszystko komedją wielką jest duchową,
Którą anieli grają w ludzkich larwach,
Jedni tę szatę mają, drudzy ową —
Aż wreszcie wszyscy w jednych staną barwach,
Aż wszystkich w szczęście zmienią się męczarnie,
Aż wszystkich wieczność pod jeden płaszcz zgarnie.

SYRENA.

(POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.)

(Dokończenie.)

VIII.

Rodzina starego żołnierza.

Tego samego dnia wieczorem do ustronnego domku przy ulicy Chmielnéj wchodzili od czasu do czasu jacyś ludzie, po dwóch lub pojedynczo. Koło furtki powtarzała się ta sama scena, jakiéj niegdyś doktór R. był świadkiem. Ostatni człowiek, który zbliżał się do furtki — szedł krokiem powolnym; czasami się zatrzymywał, oglądał, wracał; niepokój i silne roztargnienie czy też obawę zdradzały jego ruchy. Jakkolwiek szedł ze spuszczoną głową, jednak, gdy mijał miejsca, w których mdłe latarnie rozjaśniały nieco ciemność wieczoru — można było rozeznać rysy jego twarzy — był to Nuryn. Z judaszowską myślą zdrady szedł między braci swoich; wszystkie szlachetniejsze uczucia jego duszy podniosły bunt przeciw téj myśli, godność człowieka wypowiadała walkę szalonéj namiętności, przepaść jego duszy była areną téj strasznéj walki. Nuryn z trwogą i obrzydzeniem mierzył czarną otchłań hańby, w którą się rzucał — były chwile wachania się, chciał nawet wracać się; ale przypomnienie Irreoltemy gnało go znowu naprzód, obawa utraty jéj dodawała mu odwagi do zbrodni.

Już stanął przed furtką — lękliwie i nieśmiało wziął za klamkę i zatrzymał się czas jakiś. Ostatnie wyrzuty sumienia pokładły się jeszcze przed nim i wstrzymywały go w pochodzie; odepchnął je samolubną uwagą: „co mnie obchodzą ci ludzie — i mnie należy się odrobina szczęścia na ziemi“ — i wszedł do ogrodu. Wieczór był tak ciemny, że z trudnością można było rozróżnić ścieżkę wśród suchych krzaków. Nuryn po omacku prawie postępował ku domkowi, z którego okien padająca jasność oświecała kawałek ogrodu tuż koło domu — i kierując się za światłem doszedł do poręczy schodków. Tutaj jakaś postać otulona w płaszcz zasłoniła mu na chwilę światło z okna.

— Kto tu? spytał Nuryn i zbliżył się do człowieka stojącego pod murem, usiłując przy świetle padającém z góry rozpoznać jego rysu. Spojrzał i odskoczył w tył z przerażeniem:

— Nieboszczyk! zawołał zasłaniając się rękami przed widmem czy człowiekiem.

Na to słowo człowiek w płaszczu zerwał się jak zwierz raniony, poskoczył za uchodzącym i chwytając go silnie za rękę, zawołał głosem ochrypłym, strasznym:

— Więc ty Nuryn!

Nuryn nie mógł sobie zdać sprawy z tego nadzwyczajnego zjawiska; człowiek, którego on zabić kazał, którego (jak mu doniesiono) zabito, stanął nagle przed nim i to właśnie w chwili, gdy ma popełnić czyn, za który innych śmiercią karał. Ten nadzwyczajny zbieg okoliczności połączony z jego obecném usposobieniem i tajemniczością nocy, dziwnie podziałał na wyobraźnię Nuryna, trwoga go ogarnęła i usiłował się wydostać z żelaznych uścisków zjawiska.

— Precz odemnie, zawołał — zkąd przychodzisz i po co?

— Zkąd? Z krainy boleści i sromoty, w którą mnie wtrąciłeś — przychodzę po moje usprawiedliwienie. — Rozumiesz?

Słowa te oprzytomniły nieco Nuryna, poznał, że z człowiekiem ma do czynienia i usiłował uwolnić się od niego. Pchnął go więc silnie i postąpił na schodki. Odepchnięty zerwał się z gwałtownością z ziemi, z szaloną szybkością poskoczył za nim i uczepił się szat jego; poczęło się szamotanie gwałtowne, dzikie — Nuryn usiłował zrzucić na dół przeciwnika, a ten jak pijawka, jak wąż czepiał się go to jedną ręką, to drugą,

że nie sposób było uwolnić się od niego. Wreszcie udało się Nurynowi oswobodzić swe ręce od rąk przeciwnika — użył téj chwili i postąpił parę kroków, by dojść do drzwi izedbki na górze; ale ledwie zdołał je uchylić, widmo ścigające go rzuciło się tuż za nim, i prawie jednocześnie wpadli obaj do izby, w któréj siedziało kilkunastu mężczyzn osłupiałych tą niespodziewaną sceną i tym hałasem. I z drugiéj strony sionki hałas ten obudził uwagę mieszkańców, a raczéj mieszkanek. Pani Milowska z córką zaniepokojone wybiegły z izdebki dowiedzieć się o przyczynie. W sionce nie było już nikogo, tylko w stancyi po za drzwiami słychać było gwałtowne ruchy i słowa. Helenka wśród gwaru, jaki powstał, rozeznała głos jeden dobrze jéj znajomy; ale nie była pewną.

— Co to jest? spytała matka — kto tak krzyczy?

— Nasz chory.

Umilkła, bo ów chory właśnie coś zaczął mówić podniesionym głosem. Był to doktór R. — Gwałtowne wzruszenie, w jakiém go widzieliśmy, gdy się dowiedział, że matka Heleny podziela czarne przypuszczenia, jakich stał się niewinną ofiarą — dziwnie podziałało na jego zdrowie. Odtąd przytomność opuściła go zupełnie, wciąż majaczył i fantazjował, rzucał się i zrywał tak dalece, że Helenka zachodziła w rozpacz. Mimo zakazu matki znajdowała sobie zawsze czas, w którym niepostrzeżenie zbiegała do niego i pilnowała go. Jéj słowa i widok działały magnetycznie, uspokajająco na chorego, lubo jéj niepoznawał zupełnie. Niepodobna było jednak ciągle być przy nim; nawet stara Marta musiała nieraz zostawiać go samego, szczególniéj w ostatnich dniach, gdy gorączka znacznie się zmniejszyła. Jednéj takiéj chwili użył chory na wydobycie się z tych miejsc; bowiem bytność w domu, w którym wiedział, że przebywa osoba gardząca nim (myślał tu o matce Heleny), była dla niego męką; postanowił więc przy najbliższéj sposobności uciec ztąd daleko. Myśl ta powzięta przy zdrowych zmysłach, nieraz w gorączce napadała chorego — zrywał się wtedy i chciał uciekać; ale brak siły rzucał go znowu na łóżko. Dziś przytomność i siły wróciły nieco — podniósł się z wysileniem, otulił się w płaszcz i chciał uciekać. Przypadek zderzył go z Nurynem i zaprowadził nie tam, gdzie chciał iść. W rozdartéj koszuli, starganym płaszczu, zmęczony szamotaniem i osłabiony gorączką, wpadł do stancyi; ale brakło mu sił i upadł. Ci, którzy tam byli zebrani wstali i zbliżyli się ku niemu. Chory spojrzał na nich, oczy jego zamigotały fosforycznym blaskiem, blada i wynędzniała twarz zarumieniła się ogniem.

— Ha, to wy — zawołał, usiłując podnieść się z ziemi — to wy sędziowie moi i mordercy, a szczególniéj ten — ten. — Nikczemni — naród wam oddał władzę w rękę, a wy téj władzy użyliście dla dogodzenia waszéj osobistéj zemście. Potępiacie bez winy, karzecie bez sądu. Powiedz ty, który stoisz teraz z twarzą bielszą od méj koszuli, com ja zrobił, żeś mnie potępił? Żem wydarł jednę ofiarę twojéj rozpasanéj namiętności — byłoż to zbrodnią przeciw krajowi — mów, mów! I wszyscy mówcie, ja chcę sądu, sprawiedliwości — a jeżeli będziecie milczeć, odwołam się do narodu — do narodu. —

Nie mówił, ale wołał, krzyczał prawie te słowa; gorączka w szał go wprawiała.

— Co to ma znaczyć Nurynie? — spytali zgromadzeni, widząc, że chory najczęściéj ku niemu zwracał mowę — kto jest ten człowiek?

— Nie znam go.

— Nie znasz mnie? Ty mnie nie znasz? Jestem doktór R., któregoście wy skazali na śmierć za zdradę. Za jaką zdradę przez Bóg żywy, powiedzcie! — Piersi, które miały bronić kraju, pokłuły mi wasze sztylety — o, patrzcie!

Odsłonił koszulę, i usiłował rozerwać bandaże na piersiach, ale nie miał już sił i z łoskotem runął na ziemię. W téj chwili krzyk niewieści dał się słyszeć za drzwiami i Helenka wpadłszy z pośpiechem, rzuciła się do ratowania omdlałego.

Zgromadzeni w stancyi zwrócili się wtedy do Nuryna. —

— Więc to jest doktór R.? — pytali. — Ty miałeś poleconą sobie jego sprawę, ty dostarczyłeś dowodów i zaprzysiągłeś je — na mocy téj przysięgi wydano wyrok.

Nuryn nie wiedział co odpowiedzieć, gdzie podziać oczy. Położenie jego było okropne: miał udowadniać zdradę drugiemu, o któréj nie był zupełnie przekonany — podczas, gdy sam nosił się z myślą okropnéj zdrady, która miała dotknąć sam rdzeń organizacyi.

— Czegóż chcecie odemnie? Wszak przysiągłem, że jest winny.

— To kłamstwo — zawołała Helena zrywając się z klęczek — kto mówi, że on winny? —

— Ja — odrzekł Nuryn, zdobywając się na bezczelność.

— Ty? — Dziewczyna spojrzała na mówiącego i przypatrzyła mu się z uwagą; na raz postąpiła ku niemu z gwałtownością.

— Ty? — zawołała — ha, poznaję cię; rysy twoje dobrze zapisały się w mojéj pamięci owego wieczora, gdyś tak brudno nadużył mego zaufania, że zmuszona byłam uciec przed tobą pod opiekę tego nieszczęśliwego. I ty go za to zamordować kazałeś? Podły! — Postąpiła ku niemu i plunęła mu w twarz. Nuryn drgnął cały, wszystkie nerwy zagrały w nim, ale jakaś moc dziwna więziła go na miejscu, stał jak skamieniały, przybity.

— Panowie — odezwał się jeden z obecnych — nie

teraz czas na te sprawy, gdy tyle mamy ważniejszych przed sobą czynności, od których los kraju zależy. Odłóżmy to na później. — Nuryn będzie oskarżony i zda rachunek ze swoich czynności. — Dziś przejdźmy do dalszych czynności — każda chwila jest drogą.

Uwagę tę uznano za słuszną. — Kilku z obecnych podniosło omdlałego doktora z ziemi i przenieśli go na drugą stronę do izdebki wdowy.

Wśród tego zamięszania Nuryn wysunął się niepostrzeżony.

Złożywszy chorego na łóżku, spiskowi wrócili do dalszych obrad, zostawiając go pod opieką kobiet, które z niesłychaną troskliwością krzątały się koło niego. Szczególniéj matka Helenki opieką i czułością chciała nagrodzić choremu dawniejszą swoją obojętność i wzgardę. Helenka patrząc na to, błogosławiła w duszy dzisiejsze zdarzenie, które całéj sprawie taki obrót nadało; a lubo to stało się kosztem zdrowia chorego, jednak nie traciła nadziei, że ta choroba szczęśliwie się skończy. Od czasu do czasu całowała matce ręce z uciechy, a matka przyciskała ją wtedy do siebie i mówiła:

— Zawiniłam przeciw temu człowiekowi; ale ja mu to nagrodzę, będę go kochać, jak ciebie, moja Helenko.

A Helence od tych słów oczy zachodziły łzami radości i niecierpliwie czekała chwili przebudzenia się chorego, by z nim mogła podzielić radość swoją.

Chory po mocném osłabieniu zapadł w ciężki sen, który trwał parę godzin. Jakże przyjemne musiało być dla niego przebudzenie, gdy ujrzał przy sobie matkę i córkę trzymające go za ręce i patrzące na niego wzrokiem pełnym miłości. — Ta chwila zapłaciła mu sowicie długie męki i cierpienia.

— Jakie wy dobre! mówił całując je po rękach. — Boże! jakże jestem szczęśliwy teraz!

W téj chwili dzwonek zabrzęczał koło furtki silném szarpnięciem poruszony. Wszyscy drgnęli mimo woli na ten głos. — Marty nie było jeszcze w domu — matka Heleny więc sama zeszła do furtki.

Nie długo dowiemy się, kto późnym wieczorem dzwonił do ustronnego domku; tymczasem wypada nam wrócić do Nuryna i nie spuszczać go z oka od czasu jak opuścił mieszkanie wdowy.

Szedł pospiesznie rozirrytowany, wzburzony, rozmawiając sam ze sobą.

— Nuryn zda rachunek. — Ha, wy od Nuryna chcecie rachunku — porachuje on się strasznie z wami.

Słowa te jednego ze spiskujących: zda nam rachunek — utkwiły jak oset w jego duszy i kłuły go. Nuryn powziąwszy myśl zdrady, czuł się panem życia tych ludzi, wszedłszy między nich, szukał na ich twarzach pokory, czołobitności, któraby ubłagać mogła i odwieść od stanowczego kroku, a tymczasem ci ludzie zażądali rachunku od niego.

— Będziecie go mieli — syknął ściskając pięści.

Na Marszałkowskiéj skinął na dorożkę i siadając do niéj, rzekł dorożkarzowi:

— Przed mieszkanie dyrektora policyi.

Dorożka popędziła pędem w tę stronę — za czas nie długi stanęła na miejscu. Nuryn wybiegł z niéj na wschody. Kazał się zameldować; służący utrzymywał, że już późno.

— Melduj! idzie o rzecz nie cierpiącą zwłoki.

Służący wszedł do mieszkania dyrektora; Nuryn niespokojnie przechodził się po pokoju niemiarowym krokiem.

Za chwilę wyszedł służący.

— Pan jenerał prosi.

Nuryn wszedł — służący zamknął za nim drzwi, przyłożył ucho do dziurki od klucza i pilnie nasłuchiwał. Posłuchanie nie trwało więcéj jak kwadrans; ostatnie słowa, jakie wypowiedział Nuryn, były:

— Wszystkie sąsiednie ogrody otoczyć trzeba, by uniemożebnić ucieczkę.

Jenerał odprowadził go aż do drzwi samych, we drzwiach uścisnął go jeszcze i rzekł:

— Jutro wręczę panu rozkaz uwolnienia téj pani.

Nuryn skłonił się i wyszedł. Jenerał zadzwonił na służącego: był wesół i ręce zacierał.

— Słuchaj — rzekł, pisząc coś na kartce — zawołaj dyżurnego oficera.

Służący wyszedł, na twarzy jego znać było mocne zaambarasowanie i namyślał się chwilę; potém zeszedł na dół. Nie poszedł jednak wprost do pokoju dyżurnego oficera; zwrócił się na lewo do swojéj izdebki, zbudził syna swego śpiącego, napisał coś na karteczce i szepnął mu do ucha. — Chłopak chwycił za czapkę i wybiegł na miasto; a stary służący poszedł do oficera. — Oficer pobiegł na górę.

— Czemu się spóźniasz? — krzyknął na niego jenerał.

Oficer nawykły do posłuszeństwa, milczał.

— Weź ten papier, pędź co koń wyskoczy do pułkownika żandarmów — rzecz ważna, pośpiech konieczny. Udasz się na miejsce wraz z pułkownikiem i zdasz mi raport. Będę czekał.

Podczas kiedy bytność Nuryna taki ruch sprawiła w mieszkaniu jenerała — on sam wracał do siebie wpół nieprzytomny. Stało się — odważył się wreszcie na krok stanowczy. Dopóki ta chwila była przed nim, wahał się, namyślał — doznawał obawy, wstydu; była to jednak tylko gra uczuć, któréj mógł według woli nadać ten lub ów obrót. Teraz cofnięcie się nie zależało już od niego, lawina zbrodni runęła, Nuryn słyszał jéj huk we wnętrznościach swéj duszy, włosy stanęły mu na głowie z przerażenia nad tém, co uczynił; w oczach poczęło mu się mącić — szedł na oślep prawie do swego mieszkania, trzymając się murów. Przechodzący byli pewni, że jakiś pijany człowiek potrąca

się o nich i ustępowali mu z drogi. Dopadł wreszcie drzwi swego mieszkania, namacał je z trudnością i otworzył a raczéj pchnął je i sam runął na ziemię.

— Wasyl, powietrza, ratunku — zawołał ścieśnionym głosem, twarz mu posiniała i zamknął oczy.

Wasyl przyskoczył ku niemu, rozpiął coprędzéj suknie, ściągnął rękaw i nożem zaciął rękę. Ten pospieszny ratunek uratował chorego. — Wasyl nieraz w wojsku niósł w ten sposób pomoc rażonym apopleksją. Chory odetchnął ciężko. Wasyl wziął go na ręce i zaniósł na łóżko. Kiedy miał Nurynowi zapinać koszulę na piersiach, ręka jego zatrzymała się nagle, oczy w jeden punkt utkwił nieruchomie, potém jakby niedowierzał własnym oczom, wziął świecę w rękę i przysunął ją do piersi Nuryna.

— Czego tak patrzysz? — spytał go Nuryn osłabionym głosem.

— Ten skaplerz — ten skaplerz — mówił Wasyl osłupiały — skąd go pan masz?

— To skaplerz podobno po matce mojéj, któréj nigdy nie widziałem.

— Po matce twojéj — zawołał żołnierz — Boże, w głowie mi się mięsza.

— Co ci jest Wasylu?

— Synu mój — wrzasnął kaleka, rzucając się na piersi chorego.

— Bóg z tobą stary, tyś oszalał.

Żołnierz z drżącemi rękami rozpiął szynel, odsłonił koszulę i wyjął taki sam skaplerz, jaki wisiał na piersiach Nuryna.

— Patrz! mówił — te skaplerze uszyła nam matka, gdyśmy wyjeżdżali do Warszawy. W drodze aresztowano mnie — co się z tobą stało, nie wiedziałem, myślałem, że jakim cudem wróciłeś do matki.

Ponura, ciemna twarz Nuryna rozjaśniła się dziwną pogodą, wziął starego kalekę za rękę i tulił ją do piersi — a oczy jego zaszkliły się łzami. Była to niema scena szczęścia.

— A gdzież matka moja? — spytał miękim, rzewnym głosem.

— Nie wiem, nie wiem mój synu. Od czasu jak wróciłem z Kaukazu, szukam ich, dowiaduję się, — ale śladu nie ma ani o matce, ani o córce.

— Więc mam i siostrę? Boże, a jam tak bluźnił, a ja myślałem, że matka moja porzuciła mnie jak szczenię na drodze, że jestem sam — a ja mam — mam rodzinę. —

Naraz coś go zabolało, podniósł się.

— I czemuż ojcze drogi tak późno przychodzisz z tą wieścią do mnie, wczoraj jeszcze twój syn nie był zbrodniarzem. — To mówiąc, zakrył twarz rękami.

— Co mówisz o zbrodni? —

— Słuchaj mnie, słuchaj ojcze — spowiedź będzie okropna; ale nie przeklinaj syna, zostaw to innym, oni go i tak okropnie przeklinać będą.

— Cóż się stało? —

— Może jeszcze się nie stało; ale za chwilę się stanie. Słuchaj: Zaplątany w miłosne sidła jednéj kobiety cudownéj urody, zdradziłem dla jéj ocalenia moich braci.

Stary kaleka się cofnął; ale chory przytrzymał go za rękę i nie chciał puścić od siebie.

— Za chwilę — mówił daléj — żołnierze otoczą dom, w którym spiskowi się zebrali; a jutro ta kobieta ma być wolną.

— Niech będzie przeklętą. — Ja znam tę kobietę — to szatan. — Synu, tych ludzi ratować trzeba.

— Już późno.

— Powiedz gdzie oni są, pobiegnę o jednéj nodze jak wiatr, bo tu idzie o życie ludzi i o hańbę twoją.

— Spiesz więc, uwiadom ich, idź na ulicę Chmielną, na samym końcu, przedostatni ustronny domek. Tam się zgromadzili u wdowy, która się zowie Milowska.

Na to nazwisko zerwał się żołnierz:

— Synu, tak się nazywała twoja matka.

— Co? — wrzasnął Nuryn. Oczy mu zesztywniały, twarz skrzywiła się spazmatycznie, chwycił się za głowę i rozśmiał się śmiechem szalonym, dzikim.

Wasyl chwycił czapkę i wybiegł na ulicę. Leciał prawie stukając drewnianém szczudłem po kamieniach, pospiech dech mu zatykał w piersiach, umęczenie ogniem paliło twarz i zjadało resztki sił jego. — Parę razy potknął się i upadł — mimo to wstawał z pospiechem i zadyszany, zgrzany biegł daléj. Naraz zaświeciły koło latarni bagnety i Wasyl ujrzał przy świetle żołnierzy stojących. Bezsilny zatoczył się na parkan i jęknął:

— Za późno!

Siły, które dotąd podtrzymywała nadzieja, opuściły go, zsunął się pod parkan na ziemię i czas jakiś tak leżał, robiąc silnie piersiami. Wreszcie chwilowy odpoczynek i chłód nocy orzeźwił go nieco, podniósł się i patrzał z bijącém sercem w stronę domku, obleganego przez żołdactwo. Na ganeczku i w oknach poruszały się światła, w ogrodzie słychać było gwar i kroki ludzkie. — O ocaleniu nieszczęśliwych niepodobna już było myśleć — stary żołnierz chciał przynajmniéj zobaczyć twarze ukochanych osób, za któremi tęsknił lat tyle. Cofnął się więc za węgieł jednego domu, zkąd ukryty w cieniu mógł dokładnie widzieć, gdy więźniów koło latarni przeprowadzać będą. Wsparł się o mur i czekał — Bóg wie jakie tam myśli kołowały po jego głowie, jakie uczucia kłębiły w sercu. Wszystko, na co czekał lat tyle spełniło się w jednéj chwili w sposób jakiego się nigdy nie domyślał. Tam syn jego leżał chory — Bóg wie, co się z nim stało; tu żona i córka w niebezpieczeństwie; lada chwila zobaczy je pędzone



Czerwiec

„KALINA".

1867.

do cytadeli, drżał na samo wspomnienie téj chwili, a jednak czekał na nią niecierpliwie. Każda minuta długim wiekiem mu się wydawała.

Wreszcie usłyszał pochód żołnierzy po bruku; natężył uwagę, pochylił się naprzód, całą duszę pomieścił w oczach i czekał. Przez pas światła, który latarnia rzucała na ulicę przejechał najprzód pułkownik żandarmeryi z komisarzem, za nim kilku żandarmów pieszych i konnych.

— Teraz ich prowadzić będą — pomyślał sobie żołnierz, dech zaparł w piersiach, serce prawie bić przestało.

Pierwsza postać jaką zobaczył — był kapitan piechoty, za nim postępowały w milczeniu zbite szeregi żołdactwa wyciągnięte w linją. Wasyl baczne rzucał oko w środek, czy wśrod bagnetów nie zobaczy gromadki więźniów. I tu ich nie było. Przeszła piechota — za nią zatentniły po bruku kopyta końskie. Kozacy z najeżonemi dzidami przejeżdżali stępo. Już przejechali i zniknęli w ciemnéj ulicy. Wasyl jeszcze czekał — stała się cisza wielka. Wasyl uszom nie wierzył — wyszedł z za domu, spojrzał w około — na ulicy było pusto, ciemno — nikogo.

Jakaś szybka cicho otwierana zabrzęczała w domku, przy którym stał żołnierz — jakieś dwie głowy wyjrzały nią trwożliwie i szepnęły cicho:

— Chwała Bogu, nie znaleźli nikogo.

— Jakto nikogo? odezwał się sam do siebie osłupiały i nieprzytomny kaleka.

Nie wiedział, czy się ma smucić, czy cieszyć z tego.

— Nikogo? więc gdzież oni?

Podstąpił naprzód, wsunął się przez otwartą furtkę do ogrodu, wszedł na schodki, do pustych pokoi, w których żołnierze wszystko zprzewracali, przetrząsnęli; żołnierz patrzał na to wszystko ogłupiałym wzrokiem, z otwartemi ustami.

— Nikogo! powtórzył machinalnie.

Echo pustych ścian powtórzyło te słowa; obejrzał się do koła.

— Gdzież więc są? zawołał z rozpaczą i rzucił się na ziemię zanosząc się od głośnego łkania.

Nad ranem dopiero uspokoił się nieco, podniósł się strapiony, postarzały o kilka lat, z oczami czerwonemi i nabrzękłemi od płaczu. Brzask dzienny obrzucał już szarém światłem ściany izdebki. Nad łóżkiem zobaczył swój portret z młodych lat, za nim była u spodu wymieniona data jego uwięzienia. Ten portret ozdobnie oprawny przekonał go, że pamiętano o nim w tym cichym zakątku, co jednak tylko zdwoiło żal jego. Po tylu latach był tak blizkim rodziny i naraz znowu tak daleko od niéj, bo nie łudził się w tym względzie i widział, że teraz bardziéj niż kiedykolwiek stracił jéj ślad. Jak znaleść ludzi, którzy wciąż kryć się muszą, których schronienia nikt mu nie wyjawi, których odkrycie byłoby hasłem ich zguby. W rozpacznych tych myślach stary żołnierz grzebał ostatki nadziei. Przypomniał sobie, że mu jeszcze syn pozostał; wziął więc ze ściany swój portret, jako jedyną pamiątkę po nieodszukanéj rodzinie i powlókł się z nim do domu.

Przed bramą zastał kilkoro ludzi rozmawiających; gdy go ujrzeli wracającego zwrócili się głowami ku ku niemu; Wasyl ich nie widział, mając głowę spuszczoną na dół, bo inaczéj byłyby go zadziwiły ich spojrzenia. Nie patrząc na nikogo przechodził koło nich.

— Nie masz po co wracać stary — odezwał się jeden ze stojących — twego pana nie ma już tutaj.

Te słowa obudziły żołnierza jak prysk zimnéj wody. Podniósł głowę i spojrzał z przestrachem na stojących:

— Co się stało?

— Odwieziono go do domu warjatów.

Stary już nie miał siły rozpaczać, zanadto ciosów uderzyło dziś w niego i ubezwładniły go. Nie poszedł już na górę, ale się odwrócił i poszedł w miasto. — Koło Śgo Krzyża skręcił na lewo, wstąpił do szynku i zawołał dziwnym, przykrym głosem:

— Wódki!

Pił i pił — lał w siebie — nie mógł się upić. Zdawało się, że smutek wyrobił w nim jakąś bezdenną przepaść, któréj napełnić nie zdołał. Gdy przyszło do płacenia, pokazało się, że nie miał nic przy sobie. Był w niemałym kłopocie. Wreszcie jakaś pijana myśl przyszła mu do głowy, wyjął portret zpod pachy i rzucił go na stół szynkarzowi.

— Masz, całego siebie daję za kilka kieliszków wódki.

Rozśmiał się — i ludzie stojący w koło, śmiali się także.

Kiedy karczmarz miał chować portret — żołnierz nagle opamiętał się, oczy mu zesztywniały ponuro, rzucił się do stołu i chwycił za portret oboma rękami usilując go wydrzeć.

— Ja go nie dam — to pamiątka, jedyna pamiątka po niéj.

— A mnie co do jakiéjś niéj.

— Milcz, zawołał groźnie żołnierz, składając pięść.

— Zapłać, a oddam ci tę starą bazgraninę.

— Wykupię ją — dobrze? — prosił żołnierz czułym głosem. Ta myśl go uspokoiła i wyszedł z szynkowni z zamiarem wykupienia obrazu.

Ta myśl stała się marzeniem jego życia, któréj nigdy nie urzeczywistnił, bo każdy grosz zarobiony lub wyżebrany przepijał, a wykupienie obrazu odkładał na późniéj. Czasami, gdy był trzeźwiejszy, zachodził do szpitala warjatów, gdzie Nuryn w straszném szaleństwie rzucał się jak zwierz dziki. To obłąkany się za-

słaniał przed sztyletami, któremi mu grożono — to wyciągał ręce do nieznanéj matki, lub obejmował rękami słup i pieścił się z nim i całował, nazywając go imieniem Irreoltemy. Lekarze zwątpili o jego wyzdrowieniu. Stary żołnierz kaleka godzinami nieraz siedział u drzwi i patrzał na syna; potém odchodził zapłakany i szedł pić.

Irreoltema, która z każdą godziną czekała wolności, w skutek owéj nieudałéj denuncjacyi, długi jeszcze czas przebywała w więzieniu; wysłano ją potém do katorgi, gdzie jakiś pułkownik rosyjski wyrobił jéj uwolnienie i ożenił się z nią. Rozeszła się potém wieść, że dziki a zazdrosny mąż przekonawszy się o niewierności swéj żony, w straszny oszpecił ją sposób, prawie potworną ją uczynił i wygnał. Odtąd ginie ślad o niéj. Wierzono, że zły duch, który wcielił się w te piękne kształty i kusił ludzi do złego, z oszpeceniem tych kształtów znikł bez śladu z ziemi; stworzono z niéj bajeczną postać, nie chcąc przypuścić, aby taki potwór moralny mógł być kobietą: aby takie wdzięki niewieście mogły być przyczyną tylu nieszczęść i upadków. Jako autor muszę zaprzeczyć téj wierze; Irreoltema jest kobietą, a jeżeli chcecie, to wam powiem najdaléj, że jest ideałem kobiet bezdusznych, bezsercowych, a pięknych — owych cudownych kwiatów, których sok trucizną jest.

Na zakończenie powieści wypada zapewne jeszcze zaspokoić ciekawych czytelników, w jaki sposób spiskowi i zakochana para tak szczęśliwie uszli nieszczęścia, w jakie ich miała wtrącić zdrada Nuryna.

Przypomną sobie zapewne czytelnicy owego służącego w pałacu dyrektora policyi. Był to człowiek oddany całkiem sprawie narodowéj; o podobnych ludzi nie trudno było wtedy; organizacja narodwa miała swoich zaufanych i wiernych w domach, gdzie się tego najmniéj spodziewano i dla tego tak długo przed czujném okiem rządu moskiewskiego ukryć się mogła. — Otóż ów sługa wysłuchawszy najdokładniéj całéj denuncjacyi, posłał natychmiast swego syna do spiskowych z przestrzeżeniem. Dzwonek, który tak przestraszył kobiety siedzące przy chorym, był szarpnięty ręką tego chłopca. — Wszyscy więc mieli dość czasu do ratowania się i do przeniesienia chorego w miejsce bezpieczne. Gdy przybyło wojsko, zastało puste stancje. — Pani Miłowska z córką wyjechały niebawem z Warszawy na wieś, gdzie także przewieziono doktora. Obydwie kobiety jak siostry miłosierdzia oddały się pielęgnowaniu chorego, któremu szczęście i miłość prędzéj niż medycyna powracały zdrowie i siły. — W kilka miesięcy potém w małym, wiejskim kościołku nastąpił ślub zakochanéj pary. — Po ślubie małżonkowie odebrali z Warszawy od jednego z przyjaciół list, gdzie stało napisane: „Ciekawém może będzie dla was wiedzieć nazwisko zdrajcy, który całą organizację chciał wydać w ręce rządu: jest nim Juliusz Nuryn. — Rząd narodowy jednak wstrzymał się z ukaraniem winnego, bo sam Bóg spuścił na niego swoją prawicę. Nuryn jest w domu obłąkanych. Powiadają, że powodem, który go popchnął do téj strasznéj zbrodni, była chęć ocalenia jednéj kobiety z rąk sprawiedliwości — imię téj kobiety ma podobno być Irreoltema“.

— Irreoltema! — powtórzył doktór składając list.

— Czy znałeś tę kobietę? — spytała Helena wiesząc się na ramieniu męża.

— Znałem, ale to nie była kobieta.

— Jakto? Czémże ona była?

— Syreną.

— Nie rozumiem cię, mój drogi.

— Była piękną jak syrena, zimną jak te potwory morskie i wabiła ludzi do zguby i upadku.

— Czy może i mój pan słuchał tych syrenów śpiewów? — spytała z uśmiechem Helena.

— Słuchałem — słuchałem — mówił doktór.

— I upadłeś?

— Nie, bo mnie zawcześnie uratowano od zguby.

— A czy wolno wiedzieć kto taki? —

— Anioł, którego na ziemi zowią Heleną.

To mówiąc, przycisnął żonę do piersi i złożył na jéj białém czole pierwszy pocałunek.

KONIEC.

OBRAZY I OBRAZKI

z tatrzańskiéj wycieczki.

(Ciąg dalszy.)

Dość długo trwała nasza przejażdżka — nie chciało nam się wracać do brzegu — lubo kołysze się i myśl i człowiek na fali nabijanéj gwiazdami i strugą księżycowego światła, zdaje się wtedy człeku, że płynie gdzieś przez błękity — a błyszczące światy jak świętojańskie robaczki przebiegają mu nad głową i ocierają się o jego nogi. Jest to złudne wniebowzięcie, z którego nie bardzo się chciało wracać do barana. Wróciliśmy wreszcie w dobrą godzinę. Koło ognia było cicho, towarzysze nasi spali, sen zwyciężył głód i pokładł ich jak baranów na ziemi, albo raczéj jak mumije, bo każdy obwinięty w koce i derki, miał bardzo podobną minę do nieboszczyków egipskich. Leżeli w promieniach nogami zwróceni do ognia, do którego czuwający przewodnicy dokładali stosy kosodrzewiny. Usiadłem blisko Ksawerka, który się wił i kręcił we śnie — nie wiadomo czy z głodu, czy z zimna; bo chłodny wiatr wiał z tyłu, choć z przodu ogień parzył w nogi. Ksawerek pod działaniem téj podwójnéj siły zwinął się jak ślimaczek, a rozdarte mokre obuwie jego pod dobroczynném działaniem ognia schło i zwi-

jało się w trąbkę jak rozkwitający tulipan. Profesor w burce, kapturze, ze sterczącą do góry brodą wyglądał jak przewrócony kapucynek, przepowiadający pogodę i słotę — Sonatowski i we śnie nie próżnował, dobywając nosem i gardłem fałszywe, chrapliwe tony. Bolka nasze przyjście obudziło.

— A jestcście? spytał przecierając zaspane oczy i posuwając się z rozczochraną głową ku ogniu. — A Stach?

— Nie wrócił jeszcze.

Naraz: hop! hop! — odezwało się niedaleko.

Hasło to poruszyło cały nasz obóz — wszyscy się zerwali i wytężyli oczy w ciemności, na tle której za chwilę narysowała się smukła postać Stacha.

— A co, jest baran? zawołaliśmy nim miał czas dojść do nas.

— Nie. Dziś piątek, juchasy sprzedawać nie chcą, boby im owce do krzty wyzdychały.

— O ciemnoto! zawołał profesor.

— Owcy tedy nie ma panoczki, ale jest mleko od owcy.

— A co? upiekliście już? zawołał Ksawerek, który się ostatni przebudził.

— Nie, ale będziemy gotować, bo się piec nie da.

— Jakto, nie da? Nabije się na patyk jak na rożen i kwita.

— Nabijaj — rzekłem podając mu mléko.

Zajrzał w głąb i nic nie zrozumiał.

— Jakto? cóż się stało?

— Owce przepraszają nas najmocniéj, że dziś osobiście służyć nam nie mogą i w zastępstwie przysełają nam jako haracz swoje mléko.

Na tę nowinę Ksawerek zerwał się na równe nogi; wszyscy parsknęliśmy głośnym śmiechem, bo się pokazało, że Ksawerek podczas krótkiego snu przy ogniu urósł o parę cali: podeszwy bowiem, które wskutek wilgoci i ostrych kamieni, wzięły rozwód z przyszwami, zwinęły się w trąbkę od gorąca i Ksawerek wyglądał jak na szczudłach. Można sobie wyobrazić, na jak smutny ton nastroiły go owe dwa niefortunne wypadki tj., że się baran nie piekł, i że jego podeszwy zanadto się spiekły. Ułagodziliśmy tę ostatnią boleść jego propozycją, aby pożyczył sobie od przewodników kérpcy. Zgodził się na to tém chętniéj, że rzemienie kerpców robiły niewidzialną nadwątloną część jego dolnego kostiumu. Usiadł na boku i począł z pomocą przewodnika zdejmować swoje koturny i góralskiemi kérpcami ozdabiać nogi.

O spaniu nie było już co myśleć; rozniecilismy więc ogień, bo chłód nocy dokuczliwie nam się czuć dawał i nastawiliśmy garnek z wodą na herbatę. Bolek był wydelegowany do téj czynności. Nie zadługo aromatyczny zapach herbaty unoszący się z kłębami pary uwiadomił nasze żołądki o nadejściu uroczystéj chwili pożywania. Szło tylko o to, w jaki sposób dopełnić tego aktu, gdyż oprócz dwóch ogromnych garnków nie mieliśmy żadnego innego mniejszego naczynia. Potrzeba jest (jak powiada Komeniusz) matką wynalazku; urządziliśmy rzecz w ten sposób, że amatorowie czystéj herbaty kolejno przysiadali się do garnka większego dla rozgrzania sobie żołądków i parzenia ust chińskim ukropem — a gdy garnek do połowy wypróżnili, wtedy innego rodzaju amatorowie zalali herbatę mlékiem i w podobnyż sposób przy garnku straż trzymali. Było dużo śmiechu i wypadków przy téj operacyi i tak: Dezydery nachylając garnek pośliznął się i całą porcją swoją użył zewnętrznie; Ksawerek znowu przechylając ogromny garnek dla wypicia resztek (co go miało ładniejszym i gładszym uczynić), przechylił go tak, że garnek jak obszerny cylinder wpadł mu na głowę aż po ramiona.

Tymczasem już lekko ciemne niebo od wschodu rozsuwać się zaczynało, świt pobielił wierzchołki gór, których boki jeszcze biała mgła pokrywała. Księżyc coraz bardziéj chował się za ostre krawędzie Kościelca, bladł i niknął — nakoniec wszystkie szczyty zarumieniły się odblaskiem różowéj jutrzenki; mgły i zmrok jak zużyta szata spadały im z ramion na dół i tonęły w cichych wodach jeziora; wreszcie słońce, choć tarcza jego jeszcze była dla nas niewidoma — promieniami swemi, jak złocistemi hieroglifami pisało po niebie i po górach wspaniale słowo objawienia swego: jestem.

Było to hasłem dla nas do pochodu; zwinęliśmy więc obóz nasz co prędzéj, zrobiliśmy na prędce toaletę, zastępując ręcznik polami surduta, a grzebień palcami, zostawiając dalsze przystrojenie nasze ostrym granitom tatrzańskim i niewygodnéj drodze, jaka nas czekała. Jeden tylko Ksawerek różnił się od nas w tym względzie; ku wielkiemu naszemu zdziwieniu wyjął z kieszeni coś starannie owiniętego: były to kolnierzyki angielskie stojące. które przewodnicy nasi nazywali po swojemu obróżą — i z wielką powagą przypiął je pod szyją.

— Ależ Ksawerku, będzie ci niewygodnie.

— Owszem — rzekł usiłując nadać wolny obrót szyi ujętéj silnie w krochmalny kołnierz.

— Panowie — zawołałem — Ksawerek ma samobójcze myśli; chce sobie widocznie poderżnąć gardło kołnierzykami.

— Mój kochany — odezwał się urażony — jeżeli ty wyglądasz z twoją szopą rozczochraną i brudną koszulą jak opryszek, to nie wymagaj od innych, żeby cię naśladowali. Wy poeci macie patent na nieschludność; ale ja przed kobietami nie mogę się pokazać zaniedbanym.

— Ach, prawda tam będą kobiety — zawołał Bolek — i pieczeń. Panowie! nie ma co zwlekać; popro-

wadzę was jak Mojżesz z egipskiéj niewoli głodu do ziemi obiecanéj, z któréj nam się uśmiechają kobiety i ich pieczeń.

— Idzie tylko o przebycie tego czerwonego morza — rzekł Dezydery wskazując w stronę Zawratu — jeżeli nas tam pogoń głodowa dopędzi, zginiemy niechybnie.

— Spieszmy więc.

Ruszyliśmy tedy, zostawiwszy po sobie tlejące jeszcze ognisko i zdarte obuwie Ksawerka, które na odchodzącego tęskne rzucało spojrzenie wszystkiemi otworami. Zaledwie jednak kilka kroków uszliśmy, Ksawerek krzyknął i usiadł na ziemi.

— Co się stało?

— Panowie, mnie nie podobna iść daléj.

— A co, nie mówiłem? poderżnął się pewnie.

— Nie mogę iść daléj — narzekał Ksawerek — ja w tych kérpcach każdy kamień czuję pod nogą.

Nie pierwszy to Ksawerek tak srodze narzekał na kérpce. Wszyscy udający się w góry marzą o wygodném góralskiém obuwiu, które nogom ich ma dodać lotności i swobody i wszyscy tak jak obecnie Ksawerek zdesperowani siadają na kolących kamieniach i tęsknią do zwyczajnego obuwia o twardych podeszwach. Do kérpców bowiem tak samo jak do bosego chodzenia wprawiać się i przyzwyczajać potrzeba; chronią one wprawdzie nogi od obrażenia; ale są wcale dobrym przewodnikiem gniotących kamieni. Wiedziałem o tém dobrze z osobistego doświadczenia, dla tego radziłem Ksawerkowi przeprosić się z półbucikami, jakkolwiek w desperackim znajdują się stanie. Rad nie rad musiał usłuchać mojéj rady; zwinięte podeszwy przyprowadzono do posłuszeństwa za pomocą rozmiękczania wodą, zdrutowano je sznurkami, na to wszystko dopiero założono kérpce; a choć ten sposób ubrania nogi zabijał całkiem elegancją Ksawerka, jednak przynajmniej czynił podróż jego możebną. Zły i zrozpaczony, rozpoczął z nami pielgrzymkę do obiecanéj pieczeni.

Okrążyliśmy połowę stawu, (i wtedy dopiero przekonaliśmy się, jak jest obszerny) — a potem jeden za drugim drapaliśmy się na skały jak kozy, korzystając z każdéj szczeliny, z każdéj rozpadliny i załomu. Czasami zatrzymywaliśmy się, aby otrzeć z potu rozpalone czoła, odetchnąć nieco i puścić wzrok po stromych, ciemnych skałach Granatu.

— Widzę już kotlinę Zamarzłego — zawołał Dezydery stojąc na skale jak na szczerbie starego muru. —

Przyspieszyliśmy kroku, by dojść do niego i ujrzeliśmy widok wspaniały i imponujący swoją dzikością i martwotą.

Jest to może najdziksza ustroń w Tatrach — wszelkie życie tutaj wymarło, ustało; nigdzie żadnego drzewka, listka, nawet mizernego krzaczka kosodrzewiny nie dopatrzysz. Wszędzie tylko nagie, żółtawo-sine ściany skał, które podnosząc się amfiteatralnie w górę, tworzą jakby nieforemne ławy zburzonego cyrku. Na ławach zamiast widzów porozkładały się białe płachty śniegów. W kotlinie tego groźnego amfiteatru niby na arenie leży niewielkie Zamarzłe jeziorko. Niech wam się tylko nie marzy, że zaraz ślizgać się po niém będziecie; jezioro bowiem to ma tylko z brzegu grubą skorupę lodu, która (jak mi mówiono) w gorętszych latach całkiem topnieje. Wśród téj brudnéj, nieforemnie obszarpanéj skorupy lodu widzisz kilkomorgową toń wody, która w téj chwili w słoneczném oświetleniu wydawała się jak roztopione najprzecudniejsze szafiry i smaragdy. Lekki wiatr marszczył w kryształowe karby toń wody, a słońce po tych karbach srebrne i złote rzucało blaski migotliwe. Zachwyceni byliśmy widokiem; ta mała przestrzeń wody była jedyną istotą żyjącą wśród téj cmentarnéj pustelni; była (jak się wyraził Bolek) okiem w czole tatrzańskiego, ponurego cyklopa. Czas jakiś siedzieliśmy na urwisku skały bawiąc się grą kolorów na wodzie, jakby ogniami sztucznemi; wreszcie wspomnienie długości drogi, którą mieliśmy przebyć i głód, ruszyły nas z miejsca i pognały daléj. Zsunęliśmy się po śniegu w kotlinę i stanęliśmy u stóp Zawratu, który miał być natrudniejszą przeprawą w naszéj wycieczce; totéż każdy ciekawie i bacznie przypatrywał się spadzistéj pochyłości góry, na którą piąć się mieliśmy.

— A wiecie co? odezwał się Dezydery — że to nie tak straszny ten Zawrat, jak sobie wystawiałem.

— I nie tak wysoki nawet. Założyłbym się, że od miejsca, w którém stoimy do tego siodełka na grzbiecie góry nie będzie więcéj jak 500 stóp. Prawda Jonku?

— Je, prawda.

— I staniemy tam za pół godziny?

— Ej, chyba że nie.

— Ale staniemy. Przecież ta trocha kamieni i śniegu nie utrudni nam drogi. Chodźmy panowie!

Ruszyliśmy pełni animuszu; ale zaledwie kilkadziesiąt kroków uszliśmy, przekonaliśmy się, że wygodniéj daleko było podróżować oczami po tych żwirach granitów, (które zdaleka jak wygodna ścieżka ogrodowa nam się wydawały), niż nogami. Ostre bowiem kamienie granitowe powstałe z rozsypisk skał (tak zwane piorgi) co chwila usuwały się nam z pod nóg, i drogi nie wiele nam ubywało, gdy nie jeden dawszy trzy kroki na przód, naraz o cztery zsunął się napowrót. Jedynie w ten sposób radzić sobie można było, żeśmy robili szybko po kilka stąpnięć po żwirze i dopadłszy jakiego większego złomu granitowego, czepiali się go, odpoczywając chwilkę i upatrując wyżéj drugiego takiego, bo wśród miałkiego żwiru utrzymać się było nie-

podobna. Ale i ten sposób miał swoje niedogodności; zdarzyło mi się bowiem, że chwytając się takiego złomu granitowego uczułem, że się poruszył, zachwiał i ku mnie pochylił, nie będąc mocno w ziemi osadzony. Przestraszony odskoczyłem na bok do drugiego kamienia; tymczasem poruszony złom przewalił się na bok, jak wół upadający; zatoczył się nieco na bok i począł się zsuwać po zwirze, z początku z ciężkością, powoli, potém coraz gwałtowniéj, szybciéj magał kozły i leciał na dół. Obejrzałem się za nim i struchlałem z przerażenia: kamień leciał wprost na profesora kaligrafii, który napróżno usiłował po ruchoméj pochyłości gruzów zejść na bok. Zatrzymałem oddech w piersiach z przerażenia; przyznam się, że nie szło mi wtedy o ludzkość, która przez śmierć kaligrafa miała ponieść nieopisaną stratę, nie szło mi o geniusz kaligraficzny, ani o te ręce, które tyle tysięcy liter pięknie wysztychowanych mogły rzucić w świat, a które bryła granitu miała przywalić jak grobowy kamień; ale szło o kolegę z młodych lat, poprostu: o człowieka któremu groziło niebezpieczeństwo. Kamień tylko co miał zgruchotać go; gdy wtem uderza o inny kamień, niby o próg, podskoczył w górę jak piłka i przeleciawszy po nad głową bladego z przestrachu profesora, rzucił się w bok i skoczył w przepaść z hukiem i łoskotem. Zapach siarki rozszedł się od tarcia granitów o siebie.

Odtąd, by się nie narazić na drugi podobny wypadek, postępowaliśmy obok siebie w jednym szeregu, wyjąwszy tam, gdzie przez śnieg iść przychodziło. Wtedy szliśmy gęsiego, a przewodnicy przodem postępowali, wyrębując siekierkami schódki w śniegu. Te schódki były najwygodniejszym ustępem w naszém spinaniu się na Zawrat, wyjąwszy Ksawerka, który czy w skutek pośpiechu, czy zbyt powiększonego obuwia, zsunął się z jednego schódka na gładki śnieg i zjechał kilkanaście kroków na dół jak na saniach, krzycząc w niebogłosy. Już miał wpadać na kamienie, po których stokroć gorsza jazda go czekała, gdy jeden z przewodników idących w tyle, chwycił go za klapę surduta. Klapa się wprawdzie urwała, ale Ksawercio został ocalony. Bożek elegancyi wypuścił widocznie Ksawerka ze swéj opieki; czarne, galowe jego ubranie z każdą chwilą okropniejszą przybierało postać. Nie mieliśmy czasu obserwowania go dłużéj, każdy gramolił się w górę, nie zatrzymując się ani rozmawiając, każdy poglądał pożądliwém okiem na owo siodełko, do którego jeszcze spory kawał mieliśmy. Wśród ciszy ogólnéj, jaka między nami panowała, usłyszeliśmy naraz brzęk stłuczonego szkła.

— Panowie! — zawołał Marjan — zaśpiewajcie *requiescat* gdańskówce, w téj chwili rozstała się z tym światem.

Narzekania posypały się ze wszystkich ust; jedyna ożywicielka nasza, pocieszycielka nasza opuściła nas w ciężkiéj potrzebie; złośliwe granity wypiły ją za nas. Zamiast gdańskówką, krzepiliśmy się nadzieją odpoczynku na siodełku. — Stanęliśmy tam wreszcie zmęczeni, utrudzeni. — Dezydery spojrzał na zegarek i oczom nie wierzył —, przeszło dwie godziny zabrała nam ta droga. — Mierzyliśmy ją teraz okiem tryumfalném i dumném i pokładaliśmy się na wypalonéj trawie do słońca jak sfinksy egipskie rozglądając się w nowym krajobrazie, który się teraz przed nami odsłonił. — Góry M i e d z i a n e jak mury warownéj fortecy ciągnęły się w prostéj linii przed nami, tworząc granicę doliny Pięciu-Stawów; w dali za niemi na prawo w niebieskawéj oddali stał samotny Krywań, podobny do głowy cukru w granatowy papier owiniętéj. Bliżéj nas (na prawo także) Tomanowa turnia i inne szczyty wygrzewały na słońcu strzępiaste grzbiety swoje.

Przewodnicy nasi nie dali długo rozkoszować się tym widokiem, mówiąc, że jeszcze daleka droga nas czeka; poczęliśmy więc spuszczać się w dolinę Pięciu-Stawow. Tu znowu czekała nas innego rodzaju przyjemność. Dolina ta zasypana jest ogromnemi granitowemi głazami, po których skakać musieliśmy jak świerszcze polne w gorące lato. Komicznie wygląda ten pochód ludzi podrygujących co chwila jeden za drugim. Czasami zdarzyło się, że niejeden spadł w szczelinę między złomy kamieni, stłukł sobie kolano; syknął po cichu, i zrywał się co prędzéj, by nadążyć za innymi. Przypadki jednak tego rodzaju rzadko się zdarzają, chroni od nich żółty suchy porost tych kamieni, który je robi tak chropawe, że pośliznięcie się jest prawie niemożebne.

Skacząc tak z kamienia na kamień, ujrzeliśmy naraz z pomiędzy głazów dobywający się dym. Pochodził on z szałasu stojącego nad Wielkim-Stawem. Jest to najnędzniejszy, najposępniejszy, najdzikszy szałas — bez zielonéj polany, bez drzew i krzaków; jedyną dekoracją są nagie głazy, wśród których przyczaił się szałas chowając dach przed srogością wichrów szalejących nieraz z gwałtownością po dolinie. I pasterze z tego szałasu są więcéj ponurzy, dzicy, zuchwali i mniéj gościnni; mówią nawet, że niektórzy z nich nie dość uczciwém trudnią się czasem rzemiosłem. Wśród dzikiéj przyrody i przy osamotnioném życiu zdziczały ludzkie uczucia.

Weszliśmy do szałasu wołając: dajcie jeść, dajcie pić. Rozśmiali się i rzekli:

— Źleście trafili — dziś rano posłaliśmy wszystkie séry do wsi.

— A żentyca? —

— Owce aż na wieczór podojemy.

— Ja tu umrę i daléj nie pójdę — zawołał Bolek siadając.

— Ale pójdziesz, pójdziesz — niezadługo spotkamy się z koszyczkami pań naszych.

— No to chodźmy. (C. d. n.)

Z wystawy obrazów w Krakowie.

Tegoroczna wystawa, któréj krótki przegląd tutaj podamy, była niemniéj doborową jak dawniejsze, lubo nie tak świetną jak lwowska. Pomiędzy historycznemi utworami, jak i w ogóle na całéj wystawie pierwsze miejsce należy się obrazowi p. Matejki Jana: *„Władysław Biały książę Gniewkowski, Benedyktynem w Dijon, odbiera wezwanie na tron polski“*. Bez katalogu i bez komentarza pozna tu każdy autora i zrozumie rzecz. W klasztornéj celi siedzi mąż w habicie mniszym, ale z całéj postaci jego, z hardego oblicza, z dumnego czoła bije tyle męzkiéj siły, tyle żywéj treści, że habit nie oszuka widza. To nie pokorny służka, ale jakiś gwałtowny duch, który się schronił w klasztorne mury, aby wypocząć w ciszy, zakosztować pokoju i ukołysać się do takiéj pogody wewnętrznéj, jaka na zewnątrz go otacza. Przegląda bowiem przez okno wesoły, niebieski, słoneczny i wypieszczony widoczek. Ale wśród téj ciszy nadchodzi wielka wiadomość — wszystkie potęgi w mnichu wezbrały i wystąpiły na jaw; dzierży zwiastunny papier, myśl ogarnia światy, a ciężka ręka ugniata kolano. Wyrazistość i wykończoność malowania uwydatnia grę uczuć w sposób tak plastyczny, że ten mały obrazek staje się jakby ilustracją streszczającą cały dramat.

Przychodzi nam tu na myśl dziwna uwaga jednego ze sprawozdawców lwowskich, który a propos Sędziwoja Matejki powiada, że po autorze Skargi, Upadku Polski, należało się z kolei większych dzieł spodziewać. Znaczy to tyle, co zarzucać n. p. Mickiewiczowi, że on autor Ody do młodości, mógł napisać potem czułą piosenkę: *„Dobranoc tobie“!* Wszakżeż mistrzowstwo nie zależy od tego, czy temat jest, że tak powiem publiczny i rozgłośny — ale właśnie jeszcze więcéj może poznać je w tém, że unieśmiertelnia wszystko, czego się dotknie.

O obrazach Piotrowskiego: *„Komisarze konwentu odbierający syna Maryi Antoninie* — i Brandta: *Chodkiewicz pod Chocimem“* — mówiliśmy już dawniéj w sprawozdaniach z wystawy powszechnéj w Paryżu, gdzie były posłane.

Najobficiéj zastąpiony był dział rodzajowy. Tu znowu najwięcéj się podobała z powodu silnych efektów i wybornego rysunku Murzynowskiego: *„Kobieta uciekająca przed pożarem“*. Kotsis dał dwa obrazy na jeden temat: *„Rodzina żydowska po pożarze domu* i *Nędza w chacie wieśniaczéj“* — wiele tu trafnéj charakterystyki i ciepła, ale całość wygląda jakby podmalowana dopiero. Lipińskiego: *„Dzieci pod figurą* i *Pisarz pokątny“* — świadczą o sprycie w podpatrywaniu natury i pilnych studjach.

Kozakiewicza: *„Duch rycerski, chłopczyk, który nawdział ojcowski kołpak i z karabelą się mocuje, żeby ją wydobyć“*. Obrazek bardzo wdzięczny, rysunek poprawny, wyborne zacięcie warg i śliczne oczko. Wadą tego obrazu jest, że jest za wielki, i czerwony szmat ubioru najwięcéj miejsca zajmuje. Drugi obraz tego artysty, którego talent widocznie się rozwija: *„Lewitu“*, podpalający się na pryczy więziennéj, jest oprócz wyrazu oblicza, cały chybiony, a zawieszeniem szkaplerza na piersiach męczennika patrioty, który był żydem, zepsuł artysta największy efekt.

Najlepszym z rodzajowych, jest jednak niezaprzeczenie Gerymskiego: *„Powrót bez pana“*. Obok techniki szkoły monachijskiéj jest tu i poezja uczucia, i trafność w wyborze sytuacyi. Witamy serdecznie to nowe imię. Jaroszyńskiego: *„Polowanie na wilki“* — ma niektóre szęśliwe rysy — mianowicie mężczyzna ze strzelbą.

Pomiędzy portretami odznacza się Grabowskiego: *„un republicano“*; jędrność ciała, ostrość rysów, przez które patrzy dusza zasówno prosta, łagodna, jak i stanowcza, wyrobiona. Portret to wielce charakterystyczny. Miły też jest drugi obrazek tego artysty: *„Paupry grający w guziki“*. — Ładne, lubo mało charakterystyczne są portrety p. Mireckiego — tylko korpus Skierki jest za ciężki. Szkoda, że ten artysta pracowity nie dał nam tak udatnych, rodzajowych obrazków, jak to piszą o posłanych przez niego do Lwowa.

Piękne pejzaże nadesłali: Kessler i Szulze z Dysseldorfu — Szermententowskiego: *„Obóz cyganów“* — i Grabiński ze Lwowa.

Stylu religijnego wcale nie było. Zwracała uwagę Jabłońskiego: *„Madonna wracająca od grobu“*. — Jest to atoli obraz, o którym tylko powiedzieć można, że jest dziwny. Wschodnia, biała beduina jest wspaniale zarzuconą na niewiastę o obliczu szlachetném, ale schorowaném raczéj, jak bolesném. Publiczność sądziła, że to jest jakaś ilustracja sceniczna. Malowanie jest niedbałe, wiele błędów rysunkowych.

Nie wymieniliśmy tu wiele dzieł mniéj lub więcéj udatnych — nie mamy bowiem miejsca na obszerną krytykę. Chcieliśmy tylko zapisać co ważniejsze.

☛ Począwszy od wtorku (2go czerwca), będzie **przez dwa tygodnie** w sali Towarzystwa nauk. wystawiony nowy obraz p. ***J. Matejki:* Barbara** i **Zygmunt August** w dworze Radziwiłłowskim w Wilnie. — Wstęp 30 c., dochód z woli artysty podzielony na fundusz opieki dla Sybiryjczyków i na fundusz Kasyna literacko artystycznego w Krakowie.

MODY.

Podajemy dziś opis stroju panny młodéj i wyprawy téjże. Na bieliźnie stołowéj wrabiają głoski początkowe imienia i nazwiska, prześcieradła z cienkiéj weby obszywają koronkami „Malin", do których i poszewki stroją. Koszule dzienne są bogato haftowane w zakładki i haftowane medaliony. Czepeczki ranne mulowe z wstążkami stosownemi do koloru rannych szlafroków, *saut-du-lit*. Są to szlafroki w kształcie długiego paletota, zwykle z białego tybetu lub flanelki; na lato są one bez podszewki, na zimę mogą być podszyte i podwatowane. Można je kolorową materją ubrać. Mały kapiszon uzupełnia ten śliczny ranny strój. Płaszczyki do czesania są z jasnéj perkaliny zupełnie wolnym krojem z szerokiemi rękawami zrobione i ogarnirowane małą falbanką.

Suknie do wyjścia o dwóch spodnicach, z których pierwsza ogarnirowana szeroką falbaną, druga *à la Louis XV.* podpięta, wcięty krótki paletocik opasany ku tyłowi sznurem grubym z kutasami. Wieniec ślubny z białego bzu i kwiatu pomarańczowego.

Opis ryciny.

Osoba pierwsza nosi długą suknię w kliny, koloru *havana*, na któréj czarna jedwabna z takimże paletotem, po bokach podpięta szarfami. Biały iluzjowy kapelusz z blondynowemi szarfami. Osóbki środkowe noszą ładny strój dziecinny, zwłaszcza dziewczynka mniejsza. Osoba czwarta w stroju spacerowym krótkim z wełnianej materyi, ubranym rulonami czarnemi atłasowemi i rozetkami szmuklerskiemi.

Opis krojów. Arkusz I.

Fig. 1—4. **Kasak w naturalnéj wielkości.** Dla osoby średniéj miary tj. od 45 do 47 centimetrów pół szerokości piersi, cokolwiek obcisły, z tyłu i z przodu mocno w ząb; można także używać paska w tyle z dużą szarfą. Wybór materyi zostawiamy do woli, albo jedwabna lub wełniana, w każdym razie rulonikami atłasowemi ubrana.

Fig. 5—8. **Tunika.** Jestto krótka spodniczka z mocno wyciętym stanikiem, którego wycięcie wypełnia się taką materją, z jakiéj jest spodnia spodnica zrobiona.

Fig. 9—13. **Żakiet letni.** Widzimy go w dwojakim sposobie. Do Fig. 9. Przod zastosowany pod Fig. 12. Do Fig. 10. kropkowanie na Fig. 12. zastosowane w odmiennym sposobie.

Fig. 14—15. **Krój stanika dla młodej panienki**, która ma pół szerokości piersi 40—42 centimetrów, czyli na wiek od 14—16 lat.

Arkusz II.

Fig. 1—5. **Ubranie dla chłopca**, złożone z katanki, z pod któréj widać fałszywą kamizelkę, z téj saméj lub innéj materyi zrobionéj. Spodniczka krótka, w koło bioder opasana, jak to Fig. 5 okazuje. Fig. 4. **Majtki szerokie**, pod kolanem naciągnięte na elastyczną taśmę.

Fig. 6. **Spodnica klinowa** z fałdami lub bez tychże. Krój ten oznaczony równą gładką linią używa się na spodnicę klinową bez żadnych fałdów; kropkowana linia oznacza spodnicę klinową z fałdami, z których zawsze jeden przypada na każdy klin. Krój dołączony można na każdą osobę przystosować za pomocą miary

Fig 7. **Gładka klinowa suknia**, którą można do każdego kroju na stan przystosować. Mając dobry krój na stan, przykłada się najprzód tył podług A. B. i C. do krojów materyi, mierząc podług wzrostu osoby od A. do B. i od B. do C. Od C do D. mierzy się szerokość tylnego brytu. Od L. do D. idzie szew boczni, który w górze na biodra cokolwiek w krąg się kraje.

Tak samo postępuje się z boczkiem krająć od L do D. i od J. oo E. Liczba 9 pomiędzy I. i J. oznacza otwór pomiędzy boczkiem i przodem, gdzie znowu przy E. się schodzą, również przy K.

Krająć przód, trzeba uważać na wszystkie by były dość głębokie, jak to Fig. 7. okazuje. Jeżeli materja nie jest dostatecznie szeroką, to potrzeba krająć przód z dwóch części, lecz tak, aby zeszycie przodu schodziło się przy wszytce bliżéj pachy, oznaczonéj K., zkąd wychodzi zeszycie aż do F. Tylny bryt ma 53, boczek 65, przód od E. do F. 53, od F. do G. 44 centimetrów dołem szerokości, co podwójnie rachując, uczyni siedm łokci dołem szerokości.

Fig. 8—11. **Pół wcięty żakiet.** Jest on pół wcięty na średnią miarę zastosowany, z jasnéj materyi wełnianéj, a ciemniejszym atłasem ubrany dołem w zęby wcięty, jak to Fig. 11. pokazuje.

Fig. 12—15. **Wolny paletot letni.** Dla zadośćuczynienia wszystkim Czytelniczkom, dołączamy krój paletota wolnego, ubranego wstążką lub ukośną materją i naokoło guzikami naczepiany.

Fig. 16. do końca. **Wybór rozmaitych modeli kapeluszów. mantylek stosownych do pory roku** — dołączony umyślnie na **żądanie** Czytelniczek.

Nadzwyczajny dodatek.

Model z papieru **w naturalnéj wielkości**, z lekkiéj materyi — na lato. Ubiera się atłasowemi rulonikami *Biais*, albo też fałdzikami się garniruje. Cały krój zresztą bardzo łatwy i bliższych objaśnień nie wymaga.

— **Możemy z radością donieść. że sędziwy nasz bard** ***Winc. Pol*** **odzyska wzrok. Operacyi zdjęcia katarakty dokonał szczęśliwie Dr.** ***L. Rydel.***

— Jakkolwiek zaszczupłe są ramy naszego pisma, byśmy w niém mogli umieszczać nekrologi, jednak gdy śmierć poczyna sobie wybierać ofiary z koła najbliższych naszych znajomych, gdy nam porywa ludzi, którzy z obfitemi zasobami wiedzy i serca, co dopiero wstępowali na arenę pracy i życia — niepodobna nie uronić łzy nad ich wczesną mogiłą, nie rzucić na nią kilka słów wspomnienia. Chcemy tu mówić o Maksymilianie Kazimierzu **Przestrzelskim**, doktorze medycyny, żołnierzu z ostatniego powstania, którego nagła śmierć z co dopiero otrzymanym dyplomem wydarła nam; a co gorsza, wydarła matce, któréj był pomocą i pociechą. Był to jeden z tych ludzi, którzy mają czar pozyskiwania serc ludzkich, poznawszy go, niepodobna było nie pokochać, nie przylgnąć do niego. Totéż stratę jego mocno uczuliśmy wszyscy, a w tłumie otaczającym trumnę jego na cmentarzu, rzadko które oko nie szkliło się łzami.

— Smutniéj jeszcze skończył Władysław **Szukiewicz**; śmierć nie porwała go nagle z pośród nas, ale szła ku niemu powoli nie ubłagana, zimno pisząc na jego twarzy z każdym dniem wyraźniéj nazwisko swoje. Próżno uciekał przed nią na Południe; pogorszony stan zdrowia zatrzymał go wśród téj podróży w Gracu, gdzie więdnął i usychał na rękach zmartwionego ojca. I on nie dawno uzyskał dyplom doktora prawa, a prace jego na polu ekonomii politycznéj i muzyki otwierały świetną przyszłość dla jego talentu. Niestety śmierć zatrzasła zawcześnie drzwi téj przyszłości, i nadziejom jego i naszym napisała smutne: *requiescant.*

— Z niemniejszym smutkiem zapisać także musimy nagłą śmierć młodego utalentowanego rzeźbiarza Ireneusza Załuskiego.

— Dowiadujemy się, że p. Antonina **Hofman** ofiarowała do kasyna artystyczno-literackiego krakowskiego „Album" ról swoich, składające się z trzydziestu fotografij. Każda fotografja ma pod spodem drukowany tekst sceny, którą przedstawia. Tego rodzaju albumy mają istotną wartość tak pod względem sztuki jak i historyi teatru. — Żałować trzeba, że fotografje p. Modrzejewskiéj i p. Rapackiego nie są również w ten sposób zdejmowane. — Album p Hofman wykonane jest w pracowni Walerego Rzewnskiego; poznać to łatwo, nie patrząc nawet na podpis, roboty bowiem p. Rzewuskiego zbyt wyróżniają się od innych, byśmy w tym względzie pomylić się mogli.

Piąty konkurs ***Konstantego Zakrzewskiego.*** Czwarta nagroda tego nazwiska udzieloną została Szanownemu Nestorowi pisarzy ludowych, p. Janowi Kantemu Gregorowiczowi w Warszawie za powieść obyczajową pod tytułem: „Ukryte Skarby". Podpisane wydawnictwo ogłasza niniejszém nową nagrodę 300 złp. za najlepszą pracę następujących przymiotów:

1) Chodzi przedewszystkiém o dzieło dla katolickiego ludu lub doroślejszéj młodzieży.

2) Pozostawiając zupełną swobodę piszącym, wymagamy tylko, ażeby treść była w ogóle poważna, oryginalna i wzięta z pola albo dziejów ojczystych, albo obyczajów narodowych, albo z ogólnéj dziedziny nauk.

3) Przedstawienie rzeczy ma być zrozumiałe i zastósowane do potrzeb ludu naszego; język czysty, jasny i prosty, wolny jednakże od gminnéj prostoty.

4) Byłoby pożądaną, gdyby rękopism mógł być pisany czytelnie jak do druku i o tyle przestronnie, żeby z łatwością dozwolił możebnych poprawek lub dodatków.

5) Jakkolwiek objętość pracy nie wpłynie stanowczo na przyjęcie lu odrzucenie, winna wszelako być odpowiednią wysokości nagrody i zawierać mniéj więcéj 200 stron naszych dotychczasowych wydawnictw.

6) Autor odstąpi podpisanemu na pewien czas prawa autorskiego, otrzyma jednak 100 egzemplarzy dzieła.

7) Termin ostateczny do nadesłania frankowanych i w stósowne koperty z nazwiskiem autora zaopatrzonych rękopisów naznacza się na dzień 1go grudnia r. b.

Upraszamy wszystkie polskie pisma czasowe o rychłe zamieszczenie ogłoszenia.

Poznań, 20 marca 1868. — Wydawnictwo dobrych i tanich książek. — Ks. Fr. *Bażyński*, prob. koś. ś. Wojciecha w Poznaniu.

— Wyszło we Lwowie ważne dzieło: **„Pedagogia polska w zarysie"**, przez Dr. Wł. Seredyńskiego. Obszerniejszą wiadomość podamy późniéj.

— Komitet **fundacyi Szajnochy** wzywa o ostateczne nadesłanie wszelkich składek.

— **Thiers i miłość.** W rozprawach w ciele prawodawczém francuskiém wystąpował niedawno temu Thiers za ograniczeniem wolności handlu i cłami protekcyjnemi. Jedna Francuska miała z powodu tego powiedzieć: „Niechaj się Thiers lepiéj nie miesza do gospodarstwa, jego doktryny niszczą to, co jest najważniejszém, tj. miłość — polega ona bowiem właśnie na zupełnéj wolności wzajemnéj wymiany uczuć. — Może to odezwanie się dowcipne ocali ekonomiczną wolność handlu.

— Do poniższego listu, udzielonego nam w oryginale z prośbą o zamieszczenie, dodajemy wiadomość, że odnośny proces „Dziennikowi lwowskiemu" przez strony pokrzywdzone wytoczonym został. — (Red.).

Dnia 20 maja 1868. *Carouge pres Genève.*

„Oświadczam niniejszém, iż ani ogół, ani żadne grono mi znane z przebywających rodaków w Genewie, nie wysyłało gończego listu, umieszczonego w nrze 87. „Dziennika lwowskiego", ani żadnego innego tyczącego się Obywateli Jerzego Kleczewskiego i Thomaina. — Tém mniéj nie jest mi znaném istnienie w Genewie komisyi do wykrycia nadużyć. Wszelkie podobne komisje na emigracyi, tajne lub anonimowe nie mogą być, jak tylko dziełem złoczyńców. Bosak Hauke."

„Vu par Nous Maire de Carouge pour legalisation de la signature ci dessus de Mr. Bosac Hauke domicilié a notre ville Carouge. — Le 20 mai 1868. A. Fontanel."

Pieczęć: „Commune de Carouge — Canton de Genève".

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu".

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje niezapieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.